

Zagórski, Zbigniew Paweł

Oświadczenie lustracyjne, czyli mój życiorys krzywdzonego

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 53/1, 123-151

2008

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Zbigniew Paweł Zagórski

Instytut Chemii i Techniki Jądrowej

Warszawa

OŚWIADCZENIE LUSTRACYJNE, CZYLI MÓJ ŻYCIORYS KRZYWDZONEGO

*Chcieliście lustracji no to ją macie, skumbria w to-
macie, pstrąg; powiedziałby Gałczyński*

Nie głosowałem na rządzącą obecnie partię z jej podejrzanymi przyległościami (media nazywają to teraz przystawkami), przygarniętymi później z przeobrażenia, że grozi utrata władzy, tak podtrzymującymi ich nędzne kompleksy. Oświadczenie składam tylko dlatego, że niezłożenie sugerowałoby, że mam coś do ukrycia, a jest wręcz przeciwnie, bo mam coś do powiedzenia z własnego doświadczenia o państwie totalitarnym. Mój skrócony życiorys z punktu widzenia szkolnego, a później naukowego zawarty jest w dwóch publikacjach zawierających samoograniczenia polityczne [1, 2], oraz ingerencje cenzury PRL w [1]. Tutaj koncentruję się na tematyce wtrącania się w moje życie monopartii z jej służbami, mniej lub więcej tajnymi.

Generalnie stwierdzam, że nie widzę niczego szczególnego i osobliwego w działaniach służb specjalnych czasu komunizmu, nie tylko w Polsce, lecz w wszystkich krajach komunistycznych; są one częścią całego przestępczego systemu łącznie z totalną partią i całym jej aparatem. Obecne posunięcia władzy nienarodzonej jeszcze IV RP (nie mylić z czwartą władzą) zdają się sugerować, że tylko tzw. służby i kontakty z nimi okresu minionego były brzydkie, a partia to była czymś jak każda inna w normalnym świecie, walcząca o elektorat i zdobywająca go lub nie, w wyborach. Tymczasem była to jedna całość, z tym, że

służbom nie wolno było bez specjalnego zezwolenia angażować członków partii jako agentów, natomiast mieli buszować bezlitośnie w świecie bezpartyjnych, ku uciesze i satysfakcji partyjnych. Byli partyjni dziś właśnie triumfują i kpią sobie z nas, bezpartyjnych, bo przecież oni nie mogli być żadnymi agentami! Można słusznie chyba podejrzewać, że cała spóźniona awantura lustracyjna jest reżyserowana w PiS przez byłych partyjnych, wolnych od teczek, w które ładowano bezpartyjnych. Można też podejrzewać, że oszczędzanie przez PiS idei perelowskiej partyjności ma na celu ochronę własnej, pisowskiej partyjności przed zbliżającą się do peerelowskiej. W ostatnich dniach, w sierpniu 2007 r. domniemanie te stają się pewnikiem, gdy okazuje się, że przywódcy PiS a nawet prezydent RP udawali, że nie wiedzą, iż mianowany przez nich minister siłowego resortu Kaczmarek był mocno partyjnym aktywistą PZPR i aparaczykiem!

Świadome moje życie zaczęło się grubo przed II Wojną Światową i już wtedy docierały do mnie wiadomości o kreciej robocie naszych wrogów, niedziałających jawnie. Oczywiście były pogłoski o piątej kolumnie niemieckiej – już po wybuchu wojny okazało się, że działała brutalnie, jak zresztą cała przewaga niemiecka. Dużo bardziej finezyjne były podziemne działania komunistyczne. Dopiero dobrze po 17 września 1939 r. okazało się, że piąta kolumna sowiecka kryła się m.in. też w kolejarzach-komunistach, a ci dysponowali wydzieloną dla PKP siecią telefoniczno-telegraficzną. To w ten sposób nadawano tuż przed tą datą i w czasie rosyjskiej inwazji dywersyjną informację, że czołgi sowieckie idą z pomocą „na Giermańca”. Skutkiem był widok polskich żołnierzy wskazujących z radością na czołgi z czerwoną gwiazdą, by niedługo iść do niewoli, a oficerowie do Katynia. Widziałem te czołgi z siedzącymi na nich Polskimi Żołnierzami. Później pozostały na dworcu w Równem, gdzie kończyło się urzędowanie ewakuowanego Ministerstwa Komunikacji, już tylko przyzmy polskich hełmów, równo ułożone jak pomniki zwycięstwa Rosjan. Dziś samo spojrzenie na przedwojenną mapę Polski wykazuje słabość na umyśle strategów Drugiej Rzeczypospolitej, lokujących ministerstwa prawie nad samą granicą z ZSRR. Już Łuck byłby lepszy.

Pierwszą lekcją logicznej jednolitości całego systemu komunistycznego było dla mnie znalezienie się na 7 miesięcy pod okupacją rosyjską, wskutek bezsensownej ewakuacji urzędników Ministerstwa Komunikacji z rodzinami do wschodniej Polski. Przeniesiony zostałem gwałtownie z gimnazjum Staszica, uczącego współżycia z wszystkimi w Polsce (w każdej klasie musiało być przynajmniej po dwóch Żydów, Niemców, Białorusinów i Ukraińców) do okupowanego Lwowa, do systemu, który zdawałoby się uczył tego samego, tyle że pod warunkiem, że wszyscy tolerowani przez władzę należeli do partii i/lub tajnych służb. Pilne studiowanie (nie chodziłem do szkoły) gazet w stolicy Zachodniej Ukrainy, z artykułami wścickłych partyjnych (WKPB) dziennikarzy w polskojęzycznym „Czerwonym Sztandarze” z Wandą Wasilewską na czele, oraz

prasy tygodniowej i miesięczników wydawanych m.in. przez Wilhelma Billiga (już tu go umieszczam dla prawdy historycznej, choć więcej będzie dalej) w stolicy Zachodniej Białorusi, czyli w Białymstoku, nauczyło mnie wiele.

W maju 1940 r. udało się nam w ramach umowy NKWD-Gestapo o możliwości powrotu fachowców do Generalnej Guberni wrócić do Warszawy. W zamian, i w ramach przyjaźni z Niemcami, Rosjanie przyjęli głowa za głowę Żydów polskich. Sprawę załatwiały właściwe służby: komisja składała się w połowie z umundurowanych gestapowców i również w swoich czapkach z błękitnym otokiem – enkawudzystów. Przed komisją trzeba było stawić się z całą rodziną, po wpłaceniu łapówki ukraińskim (+ tzw. innym, wiadomo jakiej nacji) milicjantom. To wejście znajdowało się przy dziurze w płocie na tyłach willi, w której urzędowała komisja. Rodzice poświęcili na to obrączki ślubne. Szturm na komisję był niesamowity, bo wywózki były już w pełnym toku i rdzenni Lwowianie, mieszkańcy Przemyśla i innych polskich miast walczyli o możliwość ucieczki do drugiej okupacji.

Następnego dnia po przejściu mostu kolejowego między obydwooma Przemysłami, szwagier Ojca, który nas przygarnął przed tym w sowieckim Przemyśle, jechał już w bydłym wagonie do Workuty, jako wróg ludu, czyli urzędnik przed wojną w banku, w dodatku Polak.

Zmiana okupanta rosyjskiego na niemieckiego została nam osłodzona przetrwaniem przedwojennego mieszkania w Warszawie, które zaraz zatętniło pracą podziemną Ojca, kapitana rezerwy, dla londyńskiego wywiadu. Niemcy usiłowali wziąć Ojca do Oświęcimia w pierwszych brankach na Kolonii Staszica, jednak okazał się za stary. Potrzebowano wówczas młodych Polaków dla budowania obozu. Na moim poziomie wiekowym, mieszkanie stało się głównym lokalem tajnego gimnazjum Staszica [1].

Pozostały wtedy w pamięci wspomnienia okupacji rosyjskiej Przemyśla, trzykrotnych nocnych najść NKWD w poszukiwaniu siostrzeńca mojego Ojca. Kuzynowi udało się ukryć mimo rosyjskiej okupacji aż do wejścia Niemców w roku 1941. Do dziś pamiętam śmierzące dziegiem buciory enkawudzisty kroczącego nade mną (spaliliśmy pokotem na podłodze w małym mieszkaniu).

Starałem się w okupowanej Warszawie moją wiedzę o Sowietach rozprzestrzeniać, ale z moją znajomością systemu byłem w GG zupełnie sam. Władze podziemne, a nawet londyńskie nie miały pojęcia o systemie komunistycznym i tym tłumaczę jakże wiele błędów później przez nich popełnionych. Nie na długo udało się oderwać od groźby ZSRR. W jednym z serii nalotów rosyjskich przeciw polskiej ludności Warszawy zrujnowano nam mieszkanie w roku 1942, co przyspieszyło śmierć Ojca w styczniu 1943 roku na gruźlicę.

Epizod zakończenia udziału, jako żołnierz AK ranieniem, w drugiej godzinie Powstania Warszawskiego i szczęście, jakie miałem, nie chwając się, również własną chytrą i decyzjami ucieczki, by nie być wywiezionym do

Niemiec i by łądować na Boże Narodzenie 1944 w Krakowie, nie mają nic do lustracji. Natomiast w styczniu 1945 r. „witałem” żołnierzy mówiących po rosyjsku jak starych znajomych i dobrze wiedziałem, czego mogę oczekiwać po systemie, programowo zakłamanym i obliczonym na naiwność tych, którzy go nie znali. Politrucy szybko zaczęli działać, jeden z nich stanął na jakimś pudle na Rynku Krakowskim i wygłaszał w łamanej polszczyźnie mowę do ludu: „do teraz pracowaliście dla Niemców, teraz będziecie pracować dla Polaków”. Część słuchaczy zaczęła gwizdać, wszyscy się szybko rozeszli. Pierwsza okupacja rosyjska z 17 września 1939 r. stanęła mi przed oczyma jako żywa powtórka.

Niewątpliwie panowało zadowolenie z szybkiego zajęcia Krakowa; sympatycy reżimu zaczęli to traktować jako akt szczególnej łaski Stalina, który rzekomo chciał uratować Kraków od zniszczenia. Niestety do dziś niektórzy, jak prof. Walicki w to wierzą i głoszą, choć wiadomo, że dyrektywa Stalina była prosta, nic z ocaleniem Krakowa nie miała do czynienia, a chodziło po prostu o jak najszybsze zajęcie nieuszkodzonego, kluczowo bogatego przemysłowo i surowcowo Śląska.

Lata studiów w Uniwersytecie Poznańskim, do doktoratu w grudniu 1951 r., w chwili gdy w Sejmie uchwalano właśnie likwidację doktoratów i wprowadzenie systemu rosyjskiego, minęły politycznie spokojnie, jeżeli nie liczyć groźby ataku UB na Żonę (pod koniec wojny mieszkała w Częstochowie), którą uratowała podjęta w ostatniej chwili w 1947 r. decyzja dobrowolnego ujawnienia się z członkostwa w AK, potwierdzona dokumentem z fotografią, że korzysta z dobrodziejstwa „amnestii”!

W roku 1952, już po moim doktoracie, partia okrzepła na tyle, że zaczęła czepiać się wszystkiego i pierwszym sygnałem było oskarżenie mojego Dziadka na wystawie historii Poznania, Pawła Gantkowskiego (1869–1938), profesora medycyny, współzałożyciela Uniwersytetu, wtedy jeszcze Poznańskiego, że nie podobała mu się w latach tego, co dziś nazywamy II Rzeczpospolitą, KPP (Komunistyczna Partia Polski). Partia była szczególnie aktywna wśród kolejarzy poznańskich, którzy na prośbę Stalina poparli pucz Piłsudskiego i zablokowali w maju 1926 r. transport pułków poznańskich wyruszających na pomoc legalnemu rządowi. Oskarżenie Dziadka o tyle było kuriozalne, że jako lekarz społecznik szczególnie opiekował się biedotą poznańską.

Nie ulegało wątpliwości, że partia z jej służbami specjalnymi interesowała się moją osobą wraz z korespondencją i innymi kontaktami. Nie żadne UB, tylko trójka wściekłych partyjnych na Uniwersytecie Poznańskim i aktywistów ZMP zażądała od władz uniwersyteckich wyrzucenia mnie z asystentury, rzekomo jako prześladowającego członków partii. Podobno masowo ich oblewałem na kolokwiałach, ale przecież ich nie rozróżniałem, bo idąc do bezpartyjnego asystenta zdejmowali swoje czerwone krawaty. Rozpoznawałem natomiast łatwo nieuków, którzy jeździli na wieś zakładać kolchozy zamiast uczyć się. Usiłował

bronić mnie mój szef, profesor technologii chemicznej Wieńczysław Kuczyński, sam nie tylko bezpartyjny, ale były ziemianin z kresów. Nie ratowały go zasługi, jeszcze przedwojenne w organizowaniu polskiego chemicznego przemysłu obronnego, ratował go przez jakiś czas, pośrednio, brak partyjnych kandydatów na kierownika katedry technologii chemicznej, niezbędnej w braku technicznej wyższej uczelni w Poznaniu w tym czasie. Prof. Kuczyński oświadczył mi w roku 1952, że doszła do niego opinia rządzącej partii, że nie gwarantuję według niej prawidłowego wychowania studentów. Zdanie prof. Kuczyńskiego, jakie usłyszałem od junty, a powtórzone publicznie, że nauczyciel akademicki musi być przynajmniej w poglądach zgodny z partią, były później przyczyną moich chłodnych stosunków z niektórymi profesorami UP-UAM. Bo wniosek był logiczny: porządni ludzie to ci wyrzuceni z Uniwersytetu, a ci co pozostali są kolaborantami. Na pewno tacy byli, zwłaszcza w okresach napięć, gdy usłyszałem od pewnego profesora w pewnej uczelni, znacznie później, w pewnym okresie, że „w mojej uczelni strajków studenckich nie było, nie ma i nie będzie”. Konia z rzędem temu, kto mnie przekona, że można było taką autopacyfikację zrobić bez kontaktów ze służbami i partią. Dziś rozumiem tych bezpartyjnych nauczycieli akademickich, którzy nie chcą się lustrować.

W braku partyjnych partia sprecyzowała później swoje stanowisko i zaczęła przyjmować na stanowisko asystentów badawczych (a więc nie zajmujących się dydaktyką) osoby niepewne politycznie. W stosunku do asystentów dydaktycznych pozostała niezłomna. Znam jeden przypadek, gdy partyjny profesor chciał jednak przyjąć niepewnego kandydata i zażądał tylko wzięcia udziału w jakiejś akcji partyjnej. Spotkał się jednak z odmową, bo kandydat powiedział, że już wcześniej obiecał księdzu proboszczowi pomoc w budowie ołtarza na procesję Bożego Ciała.

Nie mogę nie podkreślić zasług tych profesorów, którzy potrafili i stworzyli warunki by móc oprzeć się naciskom, jak świetny organik prof. Jerzy Suszko, uparty góral, który mnie, wyrzuconego poprosił o wystąpienie jako przedstawiciela młodych doktorów, na inauguracji nowego roku akademickiego. On był jednym z współtwórców nowej nazwy Uniwersytetu Poznańskiego, mianowanego Adamem Mickiewiczem, ponieważ dowiedział się, że partia szykuje skok i skomli w Warszawie w Ambasadzie ZSRR by Uniwersytet nazwać „imienia Lenina”. Ten podobno kiedyś przejeżdżał przez Poznań, co zresztą nie było udo wodnione, bo zaplombowany wagon jechał robić rewolucję w Rosji najpierw z pierwszym przystankiem w Sztokholmie, a później w Finlandii, co prawda tajną trasą, ale chyba nie przez Poznań.

Do wspaniałych profesorów Uniwersytetu Poznańskiego, którzy mieli partię w głębokiej pogardzie, należał też Antoni Horst, później członek PAN. Wyrzucił za drzwi niejaką Mamońską, która przyszła na egzamin z rozbijającym oświadczeniem że nic nie umie, bo musiała się przygotowywać na udział w zjeździe postępowej młodzieży. Wcześniej prof. Antoni Horst uratował moją Żonę,

pracującą w jego katedrze, która w klasycznym trybie komunistycznym traktowania rodzin otrzymała wypowiedzenie pracy tuż po moim wyrzuceniu z Uniwersytetu, jako osobie spowinowacanej z wrogiem jedynej słusznej idei.

Z żalem muszę stwierdzić, ale nie obrażę chyba nikogo, bo już chyba nikt z ówczesnych decydentów w Uniwersytecie nie żyje, że po roku 1956, w krótkim okresie wystraszonej chwilowo partii, nie zrobiono nic by naprawić krzywdy. Nie moje, bo te były stosunkowo niewielkie. Natomiast przykładowo, należało coś zrobić dla studentki relegowanej ze studiów chemicznych (nie podaję nazwiska, bo nie mam możliwości odnalezienia i proszenia o zgodę) za wielkie przestępstwo. Oskarżona była o to, że z nad swojego łóżka w akademiku zdjęła wyciętą z gazety fotografię Lenina i w zamian przypięła obrazek św. Antoniego. Broniła się rozpaczliwie jak gospodarz Palivec w Szwejk, w przypadku portretu Cesarza Franz-Josepha, Najjaśniejszego Pana, że obraz Lenina był już zapaskudzony przez muchy, ale nic jej nie pomogło, podobnie jak Palivecowi, którego aresztowano. Studentkę wyrzucała ta sama ekipa co mnie, jeden z jej członków, zbyt głupi jako chemik, przebywał znacznie później jako zasłużony partyjniak, niejaki Kawalec, na dobrej posadzie radcy handlowego ambasady PRL w Tokio.

Wyrzucony z Uniwersytetu, znalazłem się, jak wielu mi podobnych, w laboratorium przemysłowym typu późniejszych jbr – jednostki badawczo rozwojowej (przez aktualnego, a nie przejściowego premiera „czwartej Rzeczpospolitej” nazywanych właśnie, z właściwym dla Czwartej obyczajem i nietaktem, „pegeerami peerelu”), od razu jako kierownik dużego zakładu analitycznego, w Centralnym Laboratorium Akumulatorów i Ogniw – CLAiO. To było też typowe dla systemu. Ponieważ ktoś musiał tę naukę, zwłaszcza ścisłą i stosowaną, robić, tworzone takie azyle politycznie podejrzanych, ale odizolowanych od ciekawej wszystkiego młodzieży. Przypomniało mi się to wiele lat później, gdy musiałem za sowieckich czasów odwiedzić Instytut Atomowy w Mińsku z jego kolekcją oryginalnych ludzi, robiących zresztą rzeczy mało ważne, w tym wypadku nonsensowny reaktor jądrowy z tlenkami azotu jako moderatorem/chłodziwem. Robili wrażenie chorych na umyśle, a może specjalnie udawali. Głębiej w przekroju osobowym był już chyba tylko sołżenicowski krąg pierwszy. Nie sądzę by KGB, a u nas SB specjalnie się interesowało instytutami pozauczelnianymi i ich personelem. Ważniejsi byli ci, co pracowali na uniwersytetach, zgodnie z doktryną, na której podstawie zostałem usunięty z uniwersytetu.

„Mój” Instytut poza-uczelniany był lepszy naukowo, a moja praca nad nowatorskimi metodami analizy zyskała szybko uznanie profesorów Kemuli i Minczewskiego w Warszawie. Utrapienia polityczne były do zniesienia; na uroczystości pośmiertnej Stalina pani kadrowa, żona znanego w Poznaniu ubowca Małasa, biegła przed frontem spędzonych na radosną uroczystość pracowników i patrzyła czy któryś nie okazuje radości. Następnego dnia, mój przyjaciel, doc. Janusz Downarowicz został wezwany do kadr i oskarżony, że się śmiał. Dostało mu się, jako przezywanego przez tą panią „synowi generała”. Nie było to prawdą,

bo tylko pułkownika spod Monte Cassino. Janusz nie był wyrzucony z asystentury w Uniwersytecie, bo w ogóle do niej nie dotarł. Gdy po magisterce, spóźnionej z powodu pobytu w stalinogorskim łagrze za udział w wileńskim powstaniu AK, profesor UP Lewandowski chciał go wziąć na asystenturę, znana mi ekipa zaprotestowała i oświadczyła kierownikowi katedry, że taki wileński akowiec powinien cieszyć się, że w ogóle nie siedzi w więzieniu, a nie starać się o zaszczytny etat nauczyciela w socjalistycznym uniwersytecie.

Jest prawdopodobnie sprawą przypadkowego nałożenia się wielu okoliczności, ale system komunistyczny przeżywał regularnie co 10–12 lat wstrząsy. Pierwszy powojenny nastąpił w roku 1956 i dopadł mnie w trakcie robienia korekty mojej pierwszej, grubej na 600 stron książki wydanej przez PWN. Warunki były ciężkie, mieszkaliśmy w cztery osoby w jednym pokoju mieszkania zajmowanego przez trzy rodziny, pracowałem z młodszą córką siedzącą mi na kolanach. W pewnym momencie, pośrodku trwania Międzynarodowych Targów Poznańskich (czerwiec 1956) wpadła służąca innej rodziny z sąsiedniego pokoju krzyżąc, „Panie Doktorze, w Poznaniu rewolucja” i zaciągnęła do okna by pokazać, że robotnicy na dachu gmachu Ubezpieczalni Społecznej demontują anteny radiowej zagłuszalni Wolnej Europy, a przez okna wyrzucają całą elektronikę. Za parę godzin pojawił się czołg i oddał parę strzałów z ckm, dwa piętra pod nami. Ślady są do dziś, ponieważ zarządzane przez Cyrankiewicza usuwanie śladów wojskowego tłumienia buntu poznańskiego nie było dokładnie wykonane. Na niebie pojawiły się migi, nic dziwnego, bo byliśmy prawie w oku cyklonu, czyli niedaleko Urzędu Bezpieczeństwa. Zacząłem w piecu palić numery paryskiej „Kultury”. Paliły się równie ciężko, jak papiery ministerstwa komunikacji w dniu 17 września 1939 r. w Równym, które pomagałem wtedy palić Ojcu. W Poznaniu powinienem był przy piecu poczuć na plecach oddech tajnych służb, bo dopiero tydzień później dowiedziałem się od przyjaciół, że UB poszukiwało wszystkich nieobecnych w pracy, a mnie szczególnie. Chodziło o udowodnienie tezy, że wypadki w Poznaniu zostały wywołane przez byłych AKowców. Wywiadowców jakoś zadowolilo oświadczenie lekarza zakładowego, że stwierdził u mnie ciężką grypę i dał zwolnienie. Chodziło mi oczywiście o zrobienie korekty, a lekarz, dr Nowacki był ze mną zaprzyjaźniony. Nota bene był to były cichociemny, rozgoryczony porzuceniem nas bez ostrzeżenia przez Zachód, ujawnił się UB, z całą swoją wiedzą (np. jak unieszkodliwić w mieście w ciągu 10 minut całą sieć telefoniczną) i dano mu spokój, w końcu zapisał się chyba do partii, co dało spokój jeszcze większy. Jako bezpartyjny byłby obiektem niekończącego się dokuczania.

Szczęśliwe wreszcie, choć spóźnione zajęcie się piekła osobą Stalina spowodowało wyraźne złagodzenie reżimu naukowych kontaktów z zagranicą. Zainteresowany jakimś stażem postdoktorskim, którego we właściwym terminie zostałem przez partię pozbawiony, zauważyłem, że British Council przyjmuje wnioski bez akceptacji instytucji zatrudniającej. Stan ten trwał bardzo krótko, partia

szybko się otrząsnęła, naprawiła błąd i można się było starać o stypendium tylko z akceptacją POP-u i dyrekcji. Ale ja jeszcze zdążyłem otrzymać stypendium bez pytania kogokolwiek, no i zaczęły się kłopoty, bo dyrektor mojego laboratorium, dr Kazimierz Appelt doszedł do wniosku, że po półrocznym stażu w Anglii będę tak wielki (sam nie znał angielskiego), że będę starał się go wygryźć z jego dyrektorstwa. Nigdy nie miałem takich zamiarów, a przyszłość naukową miałem jasną, mając już zapewnienie prof. Jerzego Minczewskiego, że jest dla mnie etat w IBJ. Nastąpiła rzecz kuriozalna: wtedy, gdy w PRL istniała reguła, że przed wyjazdem za granicę na dłuższy czas delikwent zobowiązuje się po powrocie odpracowywać pobyt przez dwa lata w tej samej instytucji co przed wyjazdem, Appelt zażądał podpisania przeze mnie oświadczenia w obecności POP-u i szefa związku zawodowego, że po powrocie nie wrócę do pracy w elektrochemii u niego. Sam dyrektor był wszechwładny; podejrzewano, że jest absolutnie posłuszny ministerstwu, utrzymywany w szachu kwitem, że był w czasie okupacyjnej pracy w Zakładach Cegielskiego w Poznaniu na statusie „Leistungspole”, czyli wydajnego Polaka, czegoś pośredniego między zwykłym Polakiem-niewolnikiem a Volksdeutschem, z trochę lepszymi kartkami (system w Warthe-land był inny niż na okupowanym Śląsku).

Po podpisaniu cyrografu o niepowracaniu na Starołąkę, otrzymałem pełne błogosławieństwo i opiekę sympatycznej urzędniczki departamentu współpracy z zagranicą w Zjednoczeniu Przemysłu Kabli i Sprzętu Elektrotechnicznego, podległego Ministerstwu Przemysłu Ciężkiego, Ludmiły Broszkowskiej – nieco egzaltowanej pani, która jak mi się zwierzała, pisze powieść psychologiczną. Poza tym pies z kulawą nogą nie interesował się moją osobą. Wtedy mnie to nie dziwiło, ale o wiele więcej dziwi teraz, gdy ujawniane są zabiegi służb wokół wyjeżdżających wówczas za granicę, zwłaszcza do Anglii, Niemiec, USA i innych wrogich peerelowi państw. Tłumaczę to sobie dziś parasolem rozpiętym nad moją głową przez Appelta. Najwyraźniej wymusił na ministerstwie zobowiązanie, a przynajmniej na pani Róży Rozental, tzw. głównej specjalistce Zjednoczenia Przemysłu Kabli i Sprzętu Elektrotechnicznego, pełnomocniczcze Ministra do spraw CLAIo w Poznaniu, że na pewno wyjadę bez kłopotów, a najlepiej jeżeli w ogóle nie wrócę.

Jest rzeczą nie do pomyślenia, by partia i jej bezpieka nie znali moich szczegółów rodzinnych i okoliczności, dla których mógłbym być cennym agentem. Nie wiedzieli tylko na szczęście, że przecież trzy godziny po przybyciu pociągiem do Londynu, zainstalowaniu przez British Council na trzy dni w pokoiku przy Bayswater (o ile pamiętam ten adres), siedziałem już w studiu radiowym BBC w gospodarstwie speakera polskiej sekcji, znanego dobrze przed wojną z pracy w Polskim Radio – Józefa Opieńskiego, szwagra Brata mojej Matki. Co prawda BBC nie było specjalnie uważane przez organa jako szczególnie niebezpieczna stacja, ale zawsze raport odpowiednio ubarwiony byłby perełką w teczce

funkcjonariusza. Później nastąpiło odwiedzanie Polskiego Londynu, poznawanie mnóstwa osób, którym przytomny Opieński nie ujawniał mojej prawdziwej tożsamości, przedstawiając mnie polskim emigrantom oraz Anglikom jako dalekiego krewnego z prowincji, o wymyślonym nazwisku na –ski na końcu. W późniejszym okresie Opieński przeniósł się ze swym wspaniałym radiowym głosem do Radia Wolna Europa, ku wściekłości służb peerelu. Wściekłość była tak wielka, że po jego śmierci wydano zapis w cenzurze, by nie pozwoliła na druk nekrologów (tak informowała mnie jego rodzina)! To jest przyczynek do wiedzy o pozagrobowym nawet życiu(?) a raczej zainteresowaniach służb specjalnych.

Na tym miejscu trzeba podkreślić, że w staraniach o stypendium w British Council, ani później nie podawałem moich kontaktów rodzinnych w UK i gdzie indziej, bo uważałem chyba słusznie to za niebezpieczne. Natomiast do udziału w Powstaniu Warszawskim w szeregach AK w rozmowie kwalifikującej przyznałem się „to be involved” na konkretne pytanie, co zresztą jak mi się wydaje, było przyjęte sympatycznie.

Moja półroczna praca w r. akad. 1958/1959 w The Queens University w Belfastcie rozwijała się dobrze, choć w warunkach arcyubogich, na stypendium wynoszącym 39 funtów na miesiąc, co odpowiadało 110 ówczesnym dolarom. (Osoby wyjeżdżające z tajnymi „UBocznymi” zleceniami byli podobno dofinansowywani przez zleceniodawców). Żadnego zainteresowania przez peerelowskie organa i tu nie było jak i przed wyjazdem, jak mówiłem, natomiast przejawiało się brytyjskie. Jak się lustrować to się lustrować: na jednym z przyjęć zorganizowanym dla członków klubu British Council przez rotarian, znanych jako freblówka masonerii i Bóg wie czego jeszcze, wywołało mnie dwóch charakterystycznych panów do osobnego pokoju i zaproponowali mi współpracę („charytatywną”) po powrocie do Polski. Pachniało to tak wywiadem, że natychmiast grzecznie odmówiłem. Ładnie bym wyglądał, gdyby okazali się częścią sowieckiej siatki Kima Philbyego *et al.*! Jeszcze gorszy był kiedy indziej atak dziennikarza z tabloidu, z którym nieopatrznie porozmawiałem o polityce, a on to wydrukował. Tu zaingerował sam dyrektor lokalnego British Council prosząc o absolutne nieudzielanie się. Zresztą musiał dać po łapach i gazeciarzom, bo się więcej nie zgłaszali. Samo warszawskie biuro British Council tłumaczyło się kiedyś, że dzięki unikaniu polityki było jedyną filią w Demoludach, która nie była nawet na chwilę zamknięta w czasie zimnej wojny.

By zamknąć mój okres brytyjski. Przebywałem tam w czasie tzw. *brain drain*, czyli drenażu mózgow przez USA. Kraj ten po sukcesach wojennych i powojennych ocenił właściwie znaczenie twórczości czysto naukowej. Banalną produkcją rzeczy użytkowych jak radia, telefony i aparaty fotograficzne wysłał i/lub zlecił do krajów trzeciego świata plus Japonia, a sam zajął się rozwojem tego, czego nikt inny nie potrafił zrobić. Wspaniałe skutki widzimy do dziś. Moja działalność naukowa była skrzętnie obserwowana i dobrze przed końcem pobytu

sympatyczny starszy pan o irlandzkim akcencie (z pewnością z jakichś tam służb amerykańskich), zaprzyjaźniony z profesorami z the Queens University przedstawił mi do podpisu tzw. zieloną kartę do pracy w USA, z ofertą swobodnego doboru miejsca pracy. Elektrochemia? Proszę bardzo, jaka? Który stan Panu najbardziej odpowiada? itd. Gdybym podpisał, jak potoczyłyby się moje losy? Rodzina w Polsce i angaż do IBJotu były oczywistą odpowiedzią. Osobliwością było, że jeszcze w czasie pobytu w United Kingdom, w dniu 1 kwietnia 1959 r. zostałem zatrudniony przez prof. Minczewskiego co prawda nie w zakładzie analizy, a w jeszcze ciekawszej dziedzinie w Instytucie Badań Jądrowych w Oddziale Żerańskim.

Tak zaczął się okres trwający do dziś, znów w Warszawie, w której jestem zameldowany od pierwszego roku życia. O wyrzuceniu z Uniwersytetu wtedy, w roku 1953, już prawie zapomniałem, gdy nagle okazało się, że coś z tego pozostało w mojej tajnej, nieznannej mi teczce. Po roku 1956 przez krótki okres każdy miał prawo zajrzeć w kadrach do zapisów o sobie, były to jednak drobiazgi, nawet niekiedy pochlebne, np. że ostro trzymam personel, nie pozwalam na picie alkoholu w pracy itp. Gdzieś tkwiło coś groźniejszego, mianowicie tajne zapisy co mi wolno, a czego nie. W roku 1963, na podstawie moich publikacji i dobrych opinii międzynarodowych otrzymałem ciekawe imienne zaproszenie na trzytygodniową wizytę ekspercką finansowaną przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej (MAEA) do znanego Instytutu Nuklearnego imienia Bhabhy w Indiach. Zostałem wezwany do ówczesnego dyrektora departamentu współpracy z zagranicą w Biurze Pełnomocnika Rządu ds. Wykorzystania Energii Jądrowej, Oskara Karlinera. Zakomunikował mi, że mam zapis o zakazie pracy w organizacjach międzynarodowych nawet w charakterze eksperta. Zapis działał jeszcze w latach siedemdziesiątych (za ekipy innej, aryjskiej, tylko partia była ta sama), gdy prof. Minczewski chciał mnie wysłać do pracy w Agencji na rok lub dwa, jak to się udawało z innymi jego współpracownikami, ale nie ze mną, ani nie udało się też z dr Wandą Żmijewską, na której kontrakt z MAEA nie zezwoliły tajne służby PRL. Prof. Minczewski pokazywał mi odpowiednie pismo, gdzie pisano, że dr Żmijewska jest tak atrakcyjną kobietą, w dodatku rozwódką, że mogłaby ulec szantażom dla pozyskiwania tajnych informacji itd. Zapis dla mnie w rodzaju tego, co nazywają Niemcy *Berufsverbot* trwał do roku 1990. Nawiasem: Oskar Karliner jest uznawany w RP za zbrodniarza w stosunku do narodu polskiego, ponieważ zanim został przeniesiony na dyrektora do atomistyki, był prokuratorem skazującym AKowców na śmierć. O ekstradycji po transformacji nie było mowy: zmarł w Izraelu.

Należał do grupy podobnych sobie, którymi pierwszy Pełnomocnik Rządu ds. Wykorzystania Energii Jądrowej, Wilhelm Billig, obsadził swój urząd. Sam był w okresie pierwszej okupacji rosyjskiej Polskich Ziemi Wschodnich komunistycznym działaczem politycznym w stolicy Zachodniej Białorusi, tzn. w Białymstoku. Od roku 1941 w Moskwie, dyrektor dywersyjnego radia mówiącego

po polsku; m.in. najpierw namawiał razem ze swoją wicedyrektorką, aktorką Ryszardą Hanin, w roku 1944 do powstania ludu Warszawy, a w czasie jego trwania potępiał i doradzał Stalinowi sabotowanie. W roku 1954 został oddelegowany przez Biuro Polityczne do pracy w radioaktywności, jako że miał z radiem dużo do czynienia (tak podobno uważało Biuro czyli mózg PZPR, jak mnie zapewniał doc. M. Taube, szef departamentu produkcji wojskowej w PKPG, po roku 1968 do dziś w Szwajcarii, w Eidgenössische Technische Hochschule w Würenlingen).

Billig pilnował w PRL interesów moskiewskich: na jednym z zebrań w Pałacu Kultury i Nauki, w którym uczestniczyłem, zespołu przygotowującego drugi reaktor atomowy w Polsce, oświadczył rozgoryczony w pewnym momencie dyskusji, że „gdybyście słuchali towarzyszy radzieckich, to drugi reaktor już by działał”. Na to prof. Andrzejewski, spontanicznie: „towarzyszu ministrze, gdybyśmy nie słuchali przywódców radzieckich, to już mielibyśmy metro w Warszawie”. Następnego dnia prof. Andrzejewski został zwolniony z Instytutu Badań Jądrowych. Jako dla członka partii kara była finansowo przykra, ale łagodna, bo utrzymał stanowisko profesora w Politechnice Warszawskiej.

Jak widać ingerencja służb w Instytut nuklearny była głęboka i motywowana szczególnie, pozornie, charakterem branży, co oczywiście w przypadku Polski jako nuklearnej prawie-pustyni nie miało żadnego znaczenia. Ale większość ludzi bała się promieniowania jak diabła, co było czasem pozytywne. Któregoś dnia w latach sześćdziesiątych, dostałem pisemne wezwanie na przesłuchanie w MSW na Rakowieckiej, w charakterze świadka. Nie mając pojęcia o co chodzi, uprzedziłem Żonę, że mogę nie wrócić. Musiałem czekać w pokoju-poczekalni z oszkloną szafą z niedostępnymi dla zwykłego obywatela drukami zachodnimi, z paryska „Kulturą” na czele. Po jakimś czasie, gdy ligawi (określenie wileńskie) patrzeli zapewne przez dziurkę w ścianie czy rzucę się na zakazane owoce i zostawię odciski palców, rozmawiali ze mną funkcjonariusze kontrwywiadu pytając, po co spotkałem się z wybitnym szpiegiem zachodnioniemieckim w hotelu Grand. Stwierdziłem, że nigdy w życiu nie byłem w hotelu Grand. „Ale mamy fotografie” powiedzieli, oczywiście kiepskie fotografie nie były konkluzywne. (To nie to, co dzisiejsza technika). Nie spisano żadnego protokołu przesłuchania, tylko na zakończenie musiałem podpisać poziomy arkusik formatu A5, że zachowam treść rozmowy w tajemnicy ze względu na bezpieczeństwo państwa, w czym nie widziałem niczego zdrożnego. Jest to jedyny dokument, niejawnny, jaki w życiu podpisywałem. Jeżeli gdzieś są inne kwity, to muszą to być fałszerstwa. Oczywiście żadnych zobowiązań nie podpisywałem, tajnym współpracownikiem nie byłem, ani żadnego pseudonimu nie miałem, tym bardziej nie otrzymywałem pieniędzy. Nie składałem tajnym władzom żadnego rękopisu ani maszynopisu. Nie byłem też przez nikogo indagowany przed wyjazdem i po powrocie z zagranicy. Moja przeszłość AKowska i powstaniowa była chyba ostrzegawczym światłem, że nie będę dobrym współpracownikiem i że

mogę narobić większego zamieszania niż pożytku. Więcej na Rakowiecką nie byłem wzywany.

Zdaje się, że nikt do tej pory nie przypomniał, że instytucja tajnego współpracownika, która po rosyjsku brzmi dla naszego ucha zabawnie „*seksol*” – *sekretny sotrudnik*, powstała w carskiej Ochronie i została z satysfakcją kontynuowana w kolejnych rosyjskich wersjach organów partyjno-czekistowskich, a dalej rozsiała do krajów satelickich, które w przypadku skrupulatnych Niemców doprowadziły do perfekcji w ramach Stasi (Staatsicherheit, bezpieczeństwo państwa). Policja polityczna jest „way of life” każdego systemu totalnego, a nawet po prostu narodu rosyjskiego, jak dowodzi obecnie rozwój tego państwa.

Do wiadomości młodego pokolenia: pracownik z kontaktami zagranicznymi miał paszport służbowy, przechowywany w „paszportowni” organu założycielskiego Instytutu oraz prywatny, trzymany w centralnym biurze paszportowym. Gdy zimą roku 1967 zaprosili mnie Duńczycy z atomowego instytutu w Risø (wtedy jeszcze z brzydkim przymiotnikiem „atomowy”), tym razem prywatnie, samochodem z rodziną, dostałem w odpowiedzi na wniosek odmowę paszportu, z prawem zgłoszenia się z odwołaniem na osławioną Koszykową (przed wojną budynek ambasady Czechosłowacji). Osiem godzin po wyznaczonej na przybycie godzinie zostałem wprowadzony do długiej sali konferencyjnej, na jednym końcu siedział niewielki osobnik o wyglądzie i wieku nasuwającym przypuszczenie, że może być jednym z niedobitych przez Franco i/lub Stalina „dąbrowszczaków” z wojny domowej w Hiszpanii, którzy byli głównymi po Stalinie organizatorami służb w PRL. Przedstawił się niewyraźnie, chyba pułkownik, Jedynek, czym poczułem się zaszczycony jako skromny docent, pomyśleć, że trzeba było na mnie aż pułkownika. Przed nim leżały dwie grube teczki, jedna zapewne moja, a druga mojej siostry, bo do niej nawiązał mając do mnie pretensje, że wyjechała i nie przedłużyła paszportu. „Czy ja o tym wiem?” Zasypał mnie pytaniami, „czy mogła znać jakieś tajemnice?” Zdziwiłem się szczerze, bo moja siostra plastyczka, której PRL zaferował po studiach w Akademii tylko pół etatu w fabryce włókienniczej i okazyjne chałtury w okolicy świąt państwowych polegające na malowaniu transparentów z podobiznami dostojników, była daleka od tajemnic. „Bo tu w życiorysie jest napisane, że pracuje w laboratorium”. To miejsce, gdzie robi się wzory na tkaniny, wyjaśniłem, no i po dłuższej jeszcze dyskusji na temat roli kobiet w tajemnicach państwowych stwierdził, niech tam sobie zostanie w tym USA, poczym oświadczył sentencjonalnie że „baba z wozu koniom lżej” i powiedział, że da mi ten paszport do Danii. Wolałem już nie mówić, że Danusia jako roztargniona artystka zdążyła już zalać niechcący paszport lakierem do paznokci. W każdym razie żadnego mego podpisu nie żądał, a następnego dnia w skrzynce pocztowej był dokument na odbiór paszportu. Brak powiązania z uczelnią, no i praca w podejrzanie niebezpiecznym instytucie zadziałały korzystnie.

Ale nie był to koniec sprawy paszportowej, bo gdzieś zostałem przez „dobrotliwego” pułkownika jednak zanotowany i w drodze powrotnej z Danii urządzono nam na granicy w Kołbaskowie, w środku nocy pełną rewizję samochodu, oglądając każdy kawałek papieru, przez dwie godziny. Oskarżony zostałem o przemykanie dwudziestu numerów „Newsweeka”, rzekomo „ukrytego” za siedzeniami samochodu (normalny bagażnik w ówczesnej Skodzie). Zażądałem spisania każdego numeru, w Warszawie złożyłem skargę w głównym Urzędzie Celnym i po roku otrzymałem niektóre numery z powrotem, ale tylko te, w których nie było Dubćeka, wówczas szczególnie znienawidzonego, jako głównie działającego na nerwy Rosjanom. Żałośnie słaby był to system obawiający się „Newsweeka” i tak mało dostępnego zwykłemu Polakowi. Nie potrzebuję wyjaśniać, że prawdziwą pornografią polityczną, jak ją nazywały służby, otrzymałem z innych źródeł, np. od polskiego personelu pomocniczego ambasad zachodnich oraz od przyjaciół z normalnych państw (tylko jeden *businessman* zachodni odmówił mi pomocy, motywując możliwością utraty wizy, którą uzyskał za sporą łapówkę dla prowadzenia interesów z PRL).

Kandydaci do pracy w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej i inni „figuranci”, obywatele PRL byli inwigilowani znacznie wcześniej przed złożeniem wniosku wyjazdowego i formalności agencyjnych. Funkcjonariusze popełniali błąd, sądząc że inwigilowani faktycznie zachowują w tajemnicy swoją wiedzę o kontaktach. Oczywiście tak nie było, zwłaszcza osoby młodsze zgłaszały się do swoich nauczycieli, np. do mnie, co mają powiedzieć o nich w takiej a takiej sprawie! Wyznania indagowanych były ciekawe, bo można było dowiedzieć się o technice spotkań. Najczęściej były to mieszkaniowe lokale kontaktowe, np. dowiedziałem się od pewnej osoby, że jednym z takich lokali było mieszkanie działacza partyjnego z naszego Instytutu, który wyjechał na dłużej służbowo (jako ekspert?) do pracy w ambasadzie PRL za granicę. Co prawda zdejmowano tabliczki z nazwiskami i zawieszano inne, ale można było łatwo przeprowadzić identyfikację z adresu i opisu. Akurat to mieszkanie znałem z krótkiej przypadkowej wizyty służbowej.

Ponieważ inwigilacja mogła dopaść każdego, uprzedziłem mojego bliskiego kuzyna (syn siostry mojego Ojca) w Londynie (Roman Bem, wywieziony na Syberię z rodziną w roku 1940, z Jarosławia pod okupacją rosyjską), że mogę paść ofiarą prowokacji i proszę na wszelki wypadek o instrukcje postępowania. Kuzyn nie był politykiem lecz chemikiem, dyrektorem technicznym wytwórni chemicznej związków bizmutu w Londynie. Miał jednak kontakty z rządem emigracyjnym i jego Radą i wdzięczny był za informacje, które mogłyby neutralizować wrogą dla narodu polskiego działalność służb specjalnych. Niektóre informacje Londyn przekazywał Radiu Wolna Europa i stąd m.in. szły apele do Polski, żeby nie zgadzać się na kontakty kawiarniane lub w „prywatnych” mieszkaniach, a jeżeli ich już nie można uniknąć, to żądać pisemnych wezwań na Rakowiecką, z podaniem celu wezwania.

Kolejny wstrząs w wspomnianym cyklu 10–12 letnim partii nastąpił w roku 1967–8, w którym partia postanowiła wyrzucić określoną grupę swoich działaczy i w ogóle osoby pochodzenia żydowskiego z kraju. Miało nastąpić ogólne potępienie Żydów w IBJ, w ramach wiecu. Już nie pamiętam, od jakiego szczebla zjawić się mieli pracownicy w obszernej stołówce Instytutu Badań Jądrowych na Świerku, na sabacie czarownic, który nazywał się otwartym zebraniem załogi. Miał to być rodzaj publicznego oskarżenia i pokazania pracownikom, że któregoś dnia, kogoś nie zobaczą w pracy. Jeżeli ktoś oczekiwał, że dowie się o usunięciu Wilhelma Billiga i Oskara Karlinera już wymienionych w moich wspomnieniach oraz podobnych zbrodniarzy w tej ekipie jak Fejgin (od spraw patentowych w resorcie atomowym), pamiętany jako wyrrywający paznokcie przy przesłuchaniach, oraz takich rabusiów mienia bogatszych więźniów, jak dyrektor departamentu wojskowego u Billiga, pułkownik Rotnicki („filatelista”) i inni, to się mylił. W końcu mordowanie i okradanie AK-owców było politycznie zawsze poprawne i nieważne kto to robił, byleby robił.

Oskarżanych Żydów z samego Instytutu, a nie nadrzędnego organu założycielskiego, obwiniano o rzeczy drobniejsze, np. profesora Stefana Minca (matka aryjka, ojciec i syn piszący się przed wojną Mintz, zwolennicy asymilacji) o to, że wszystkie swoje posady (jedną z nich było wiceministrowanie Szkół Wyższych) traktował jako pierwsze, zmniejszając bezprawnie podatek wyrównawczy (pamiętacie za co dopadnięto w USA gangstera Al Capone i innych? – za niepłacenie podatków). Polecono wybrać jedną, wybrał Uniwersytet Warszawski i nie wyjechał, prawdopodobnie z powodu antytalentu do języków obcych. Adres w Warszawie: niezmiennie Aleja Róż (to mówi za siebie, podpowiada mi profesor, zajmujący się historią PRL). Jak mi doniósł mój prywatny, tajny, zaprzyjaźniony kontakt z POP i KZ IBJ (tak, tak, proszę esbeków, bezpartyjni też potrafili mieć swoje wtyczki!) Minc obawiał się w roku 1968 naprawdę tylko wyrzucenia z Partii, ale to nie nastąpiło, a jak się zainteresowany o tym dowiedział, to miał według świadków łyzy wzruszenia w oczach. Ponieważ Stefan Minc był już wymieniany na łamach „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki” w artykule Z.R. Grabowskiego [3] o jego dalszej działalności w Uniwersytecie Warszawskim (podaję pełną nazwę, bo UW może oznaczać podejrzaną uczelnię w Warszawie, „dzięki” radosnej działalności [skorumpowanej?] urzędniczki Ministerstwa Szkół Wyższych). Postać Stefana Minca była o tyle ciekawa, czego nie ma w wspomnieniach prof. Grabowskiego, że pochodził z rodziny żydowskiej, która obrała drogę asymilacji, jednak nie z narodem polskim a z komunistami. Był członkiem młodzieżówki Komunistycznej Partii Polskiej, czyli Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Wzięty do niewoli przez Rosjan pod Grodnem w 1939 r. jako zmobilizowany podporucznik rezerwy, nie zginął w Katyniu lecz przeciwnie, został odzyskany przez NKWD i pełnił funkcje agenturalne w I Armii Ludowego Wojska Polskiego, gdzie pokrywką były służby

chemiczne, w swoim fachu nie mające wiele do roboty, ale miały pełną swobodę odwiedzania różnych oddziałów. W ten sposób przypadkowo znalazł się w oku cyklonu bitwy pod Lenino.

Na miejsce Stefana Minca w IBJ powołano na stanowisko kierownika Zakładu docenta związanego ideologicznie i interesami z Gomułką, którym obu tolerowano żony Żydówki silnie ze sobą związane i na jakiś czas pozostawiono w spokoju przed odstawieniem na boczny tor. Docent Roman Broszkiewicz doszedł co prawda do stanowiska jednego z sekretarzy do spraw naukowych w KW PZPR, a także do tytułu profesora *honoris partiae* w nauce oraz do wicedyrektora do spraw naukowych w IBJ, ale z którego został po 7 miesiącach zdjęty za robienie różnych głupstw, narażając się już nie tylko chemikiem, ale jeszcze więcej fizykiem. Stanowisko kierownika Zakładu mnie należało się według opinii publicznej, ale nie byłem przecież partyjny, a w kwestiach żydowskich byłem jako nieoficjalny zastępca Minca uważany za filosemitę, albo wręcz – według terminologii niemieckiej czasu nazizmu i wojny – byłem niewątpliwie tzw. białym Żydem. Żeby zakończyć podrozdział „Roman Broszkiewicz”: Na stanowisku sekretarza KW PZPR władał uczelniami a szczególnie ich rektorami. Mianował i wyrzucał jak chciał. Nigdy wolność akademicka nie była tak gwałcona w dziejach jak wówczas, nawet po stanie wojennym, gdy inteligentni aparaczczyki zdawali sobie sprawę, że ich sprawa się kończy, działał ze zdwojona energią. Z zabawną retoryką powoływał się na klasę robotniczą (przy świadkach!) rugając nieposłusznych rektorów. Z punktu widzenia filozofii teczek, tak umiłowanej w IV Rzplitej (tak skracano w II RP) możnaby zapytać: czy z nich w tych działaniach korzystał? Oczywiście że nie, bo po co. Wyczytałby, na przykład, może nawet to zrobił, z donosu jakiegoś asystenta niezadowolonego ze swojego profesora, że „ten ubiera się zawsze starannie i elegancko, ale jego prace naukowe nie mają żadnej wartości”. Po prostu działał jako dyktatura proletariatu i tyle, w ramach partii, którą teraz uważa się za nieszkodliwą, a paskudni są tylko bezpartyjni agenci. Żeby uzupełnić fakty związane z osobą „pana” (obecnie) Broszkiewicza: odzyskał po rodzinie liczne kamienice w dobrych punktach Warszawy i zajmuje się ich eksploatacją, jak opowiada mi Dyrektor naszego Instytutu, ubawiony transformacją działacza. Osobę tę miałem na myśli, nie wymieniając nazwiska w moich wspomnieniach o profesorze Kemuli, drukowanych w Kwartalniku (4).

Wracając do stołówki na Świerku w roku 1968: pewną zabawną przerwą w sabacie czarownic było spontaniczne wystąpienie jakiegoś autentycznego robotnika (byli tacy w warsztatach produkcyjnych IBJ – w tym Instytucie pracowały nie tylko wykształciuchy). W połowie sesji wieszania psów na Żydach, zgłosił się do głosu mówca z oświadczeniem, że „dr Tadeusz Wójcik, sekretarz naukowy Instytutu jest w porządku, bo go co niedzielę widzi w kościele”. Nagrodzony burzliwymi oklaskami rozbawionego zgromadzenia, został porażony

wzrokiem przewodniczącego, moczarowca, który chętnie by go na miejscu rozstrzelał. Dalej więc toczył się jednak pod kontrolą. Z oskarżonych, o ile pamiętam, mało kto się pojawił, chyba tylko chemik profesor Akerman. Zarzucono mu, że ma brata za granicą, bronił się słabo, bo jak tu się bronić gdy nawet nie powiedziano czym ten brat się zajmuje. Jak to wtedy bywało, obrona była utrudniona niewiedzą, co oni, oskarżyciele naprawdę wiedzą. Oskarżony Akerman wyjechał szybko z PRL-u, podobnie jak fizyk prof. Buras, o którym wiele miał do powiedzenia, ale nie na tym zebraniu, prominentny as tajnych służb, Romuald Spasowski [o roli wywiadu itp. służb w początkach IBJ por. 5], który zresztą załatwił mu nazwisko prawdziwego Burasa i ukrywał go pod Warszawą w czasie okupacji przed *Endlösungem*. Prof. Buras został po wyjeździe z PRL-u zaangażowany, czego Duńczycy gorzko później żałowali, w Duńskim Narodowym Instytucie (poprzednio zwany Atomowym). Wyznaczyli go na negocjatora z krajami Europy, jeszcze wówczas kadłubowej, w sprawie rozbudowy małego Instytutu Nielsa Bobra w wielki europejski ośrodek, za pieniądze europejskie. Atuty strony duńskiej były mocne: wspaniały ogromny teren kartofliśka, „do wzięcia” za parkanem instytutu, infrastruktura sąsiedniego dużego Instytutu Narodowego i legendarne nazwisko w nauce. Buras okazał się jednak tak niekompetentnym merytorycznie i marnym adwokatem, że Duńczycy przegrali do Niemców, którzy teraz mają liczący się międzynarodowo ośrodek pod Hamburgiem. Nic dziwnego, prof. Buras swój pobyt w Danii koncentrował na zwalczaniu polskich naukowców, z prof. Sławomirem Siekierskim (bezpartyjny) na czele, który w roku 1968 był przewodniczącym Rady Naukowej Instytutu Badań Jądrowych i oczywiście nie miał wspólnego z czystką partyjną. Akcję prof. Burasa odczułem sam, gdy natknąłem się na niego w bibliotece Instytutu Duńskiego: grzecznie się ukloniłem, lecz ten nie kiwnąwszy nawet głową spojrział groźnie i uciekł wzrokiem – byłem przecież w roku 1968 członkiem Rady Naukowej IBJ.

Pewno nie doczekamy się nigdy monografii o roku 1968, bo w końcu nie wiem czy jest choć jedna *dramatis personae*, która nie miałaby czegoś do ukrycia w sprawie! Ale już w trakcie poprawiania mojego tekstu słyszę, że ktoś chce przeprowadzić dochodzenie na temat „wypędzenia” ok. 10–30 tysięcy (nikt nie wie dokładnie choć akcja była dokładnie ewidencjonowana przez międzynarodowych przedstawicieli żydowskich działających w ambasadzie holenderskiej, a każdy wnioskodawca, który chciałby przy okazji wyjechać, np. jak mówiono, arystokrata nazwiskiem Plater był starannie badany przez komitet żydowski czy naprawdę jest Żydem, w tym wypadku z oceną negatywną). Bardzo dobrze, chciałbym tylko wiedzieć o afiliacji partyjnej przedwyjazdowej emigrujących. Kto nie chciał, nie wyjeżdżał przecież; nie wyjechał profesor Zbigniew Grabowski, którego wspomnienia [3] drukował „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, do którego posyłam ten tekst.

Interpretacja *exodusu* z roku 1968/9 była dla środowiska naukowego jasna: jedna grupa partyjna wyślizgała bezkrwawo, prawie aksamitnie, inną grupę w tej samej partii i tyle. Dowodów na aktywność komunistyczną wyjeżdżających było mnóstwo, Amerykanie nie wpuścili prawie nikogo z pragnących przekierunkować się z Wiednia do USA, zamiast do Izraela, jeżeli byli poprzednio członkami partii. Zbyt świeża była pamięć o zdradzieckiej roli członków Komunistycznej Partii USA, z Rosenbergami na czele. A z okresu późniejszego zimnej wojny: Jonathan Pollard, urodzony w USA obywatel tego kraju, a jednocześnie agent Mossadu, zdrajca pracujący w NSA (w bardzo tajnej *National Security Agency*), który wykradł największe tajemnice obronne USA w latach siedemdziesiątych, sprzedane później, przez Izrael Rosjanom, zmieniające układ sił na Bliskim Wschodzie, potwierdził dziesięciolecia później tę regułę. Odsiaduje w USA bezpardonowe dożywocie, a państwo Izrael nie ustaje w wysiłkach by go od Amerykanów odzyskać, oczywiście nie dla nagrodzenia, tylko dla ukarania za niechlujne wnoszenie dokumentów w reklamówkach, albo nawet zwyczajnie pod pachą z NSA. Ci Żydzi z PRL, którzy jednak do Izraela dotarli, omijając przyjemniejsze miejsca jak Skandynawia, nie stali się wcale przyczółkiem komunizmu na Bliskim Wschodzie, jak to zamierzał kiedyś Stalin, popierając powstanie państwa Izrael. Ze schronienia w Izraelu, zapewniającego niewydawanie ich w ramach prawnej ekstradycji, skorzystali ci, którzy mogli się tego obawiać. Przykłady (np. Oskar Karliner) w innym miejscu.

Służby specjalne wtargnęły pośrednio w moje życie, gdy po roku 1969 wyjechały z Polski, jak wspomniano, prawie wszystkie osoby pochodzenia żydowskiego, kwalifikujące się na stanowiska kierownicze w naszym instytucie, a partia nie dopracowała się jeszcze swoich zaufanych samodzielnych nie-żydowskich naukowców. Po niefortunnych próbach łatania sytuacji partyjnymi, np. Broszkiewiczem z wewnątrz Instytutu oraz partyjnymi profesorami z małych uczelni prowincjonalnych, powstała bezpartyjna dyrekcja z naczelnym prof. Jerzym Minczewskim (1916–1995). Wszyscy jego bezpartyjni kandydaci na zastępców w tym największym w Polsce Instytucie (ok. 4000 pracowników) byli na stanowiskach tzw. nomenklaturowych, zatwierdzanych przez KC PZPR. Profesor Minczewski musiał w KC walczyć o zatwierdzenie każdego ze swoich zastępców i dowiedziałem się przy tej okazji od niego z satysfakcją, że KC miał największe opory przeciwko mojej osobie, czemu się nie dziwię. Musieli przecież zdawać sobie sprawę, że wyrzucenie mnie z asystentury w Uniwersytecie wbrew woli zatrudniającego mnie profesora, będzie pamiętane do końca życia. Istotnie, było to potwierdzeniem, czym jest komunizm i że będę w mojej działalności naukowej i technicznej działał na korzyść Polski, ale w żadnym wypadku obłąkanej (i groźnej, ale na szczęście, nieudolnej) idei, której będę się przeciwstawiał. I sądzę, że wypełniałem prawidłowo obowiązki naukowca, inicjując chociażby technikę akceleratorową na dużą skalę do celów chemii i zastosowań,

także medycznych w jedynym z tzw. Demoludów. O tym gdzieindziej [2], tu skoncentrujemy się na stosunkach społeczno-politycznych w ustroju totalitarnym, jakże podobnym do narodowo-socjalistycznego, tym razem komunistycznym. O pojęciu partyjności (Parteilichkeit) wśród naukowców niemieckich czasu wojny, z odniesieniem do czasów komunistycznych por. [6].

Na pierwszym posiedzeniu bezpartyjnej Dyrekcji Instytutu Badań Jądrowych (nawiasem: największego wówczas instytutu naukowego w PRL) w roku 1972, Dyrektor Naczelny, prof. dr Jerzy Minczewski poinformował, że w przypadku prób jakiegokolwiek indagowania nas, tzn. jego zastępców przez dowolne służby, mamy tych osobników natychmiast kierować do niego, do dyrektora naczelnego. Ciekawe, że ta dyrektywa odnosiła się również do ataków przez jawnych aktywistów partii, jak miałem się wkrótce przekonać. Na jednej z prowadzonych przeze mnie miesięcznych narad z kierownikami zakładów Ośrodka Żerań (wówczas reprezentowali ponad 400 pracowników) zjawił się sekretarz komitetu zakładowego IBJ, fizyk dr Boużyk. Łatwo zauważyłem w miarę trwania konferencji jak narastała w nim złość na mnie, i rzeczywiście, następnego dnia miałem telefoniczne wezwanie do KZ w Świerku. „Czy mam się zgłosić?” zapytałem prof. Minczewskiego, odpowiedź była: Nie!

Czytelnik może zapytać czy nie miałem propozycji wstąpienia do partii rządzącej. To jest tzw. dobre pytanie, więc odpowiadam. Istotnie zaatakowały mnie, bez wzajemnego porozumienia, bo się serdecznie nieznosiły, dwie wysoce partyjne, merytoryczne urzędniczki. Ta młodsza, z organu założycielskiego, czyli Urzędu Energii Atomowej, wytwornie i salonowo zapytała czy nie chciałbym „wstąpić do naszego klubu”, jak to atrakcyjnie nazwała. Jej męża naukowca, bezpartyjnego, można było łatwo rozpoznać jako tw, metodą, której nauczyli mnie bezpartyjni koledzy naukowcy w NRD, żyjący w systemie wiele sprawniejszym czekistowsko niż PRL. Moja odpowiedź „nie, dziękuję” była stanowcza i oczywista, co zresztą zostało przyjęte ze zrozumieniem i nie przeszkodziło relacjom służbowym. Druga z pań, moja podwładna od planowania, zauważyła któregoś dnia życzliwie, że miałbym łatwiejsze życie, gdybym zapisał się do partii, bo we krwi miała szacunek do władzy. Jej ojciec przed wojną był maszynistą PKP, który ciągnął salonkę prezydenta RP Mościckiego. (Ciekawe czy ten pracownik PKP był w KPP – por. początek wspomnień). Moja odpowiedź negatywna wzmogła chłód w relacjach służbowych i staranne utajnianie przede mną funkcji tych pań w partii i płynących stąd korzyści (talony etc). Obydwie panie pasowały do jednej z historyjek opisanych w Szwejku, jak to urzędniczka pocztowa okropnie namieszała i musieli się nią zająć wojskowi psychiatrzy sądowi w samym Wiedniu. Orzekli, że „idiotką jest istotnie, ale obowiązki urzędowe pełnić może” (wybaczcie, PT feministki, to nie ja to wymyśliłem).

Do mojej chronicznej bezpartyjności jestem niezmiernie przywiązany wręcz rodzinie. Gdy mojemu Ojcu zatrudnionemu przed wojną na stanowisku radcy

w Departamencie Dróg Wodnych Ministerstwa Komunikacji zaproponowano stanowisko Dyrektora Departamentu, należące się z punktu widzenia fachowego, jednak pod małym warunkiem, zapisania się do BBWR, odpowiedź była „nie”. Dla młodych Czytelników rozwinięcie skrótu żenującej formacji II RP: Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Nie wiem który z satyryków tę chytrłość wymyślił – gdyby kto pytał: partyjność – jaka partyjność?. Rządy monopartyjne? Przecież demokratyczne, bo jakiś blok to nie partia! Oczywiście politolodzy angielscy nie dali się zwariować i na przedwojennych politycznych mapach Polski zaznaczali to państwo słusznie kolorem półdyktatury. Oczywiście, jak wyżej, Ojciec odmówił i dyrektorem został ówczesny odpowiednik dzisiejszej młodzieżówki PiS.

Przypadkiem zresztą mój Ojciec (Józef Zagórski, 1885–1943) słabo pasował do dyktatury Piłsudskiego. Niedobre było nazwisko Zagórski, tak jak generała, którego Piłsudski polecił zrzęcznie załatwić, w sposób, który do dziś jest taką tajemnicą, że nawet ci, którzy coś przekazali potomności, obawiali się, że prawda może zantagonizować społeczeństwo. Tkwiło przekleństwo pozagrobowe. Gdy okradli nasze mieszkanie, niedaleko Ministerstwa Komunikacji (koło pomnika Sopera), w roku 1928, piłsudczykowska gazeta dała notatkę, że okradziono mieszkanie inżyniera Zagórskiego, z komentarzem „ale my żadnego Zagórskiego nie żałujemy”. Nie potrzebuję dodawać, że żadnego pokrewieństwa z zamordowanym generałem nie było. Drugim hakiem w teczce Ojca była przyjaźń z generałem Władysławem Sikorskim, datująca się jeszcze z czasów studiów politechnicznych we Lwowie. Sikorskiego przecież Piłsudski też by kazał zgładzić jak gen. Rozwadowskiego, ale nie udało mu się, na szczęście, choć niewiadomo czy śmierć Sikorskiego nie była jednak związana z nienawiścią piłsudczyków do niego.

Pozostawienie względnej wolności przemysłowcom w dyktaturach można uogólnić: w systemach pół- i pełnej dyktatury, tzw. dziś budżetówka jest pod ścisłą kontrolą grupy trzymającej władzę. Naprawdę prywatne firmy produkcyjne są w zasadzie wolne od kontroli zapewniając postęp gospodarczy. To tajemnica długiego trzymania się Niemiec w groźnej kondycji przed klęską. Do budżetówki należy ogromna grupa wykształciuchów. Spod władzy partii usiłują się wyłamać uczelnie ze swoją wolnością akademicką, co rzadko im się udaje. Niezależność uczelni była w Polsce przedwojennej solą w oku rządzących pułkowników, jednak znaleźli na to radę. Tak zwane reformy braci Jędrzejewiczów (jeden z nich to autor superwazeliniarskiej książki opisującej, w sposób właściwy oczywiście, każdy dzień życia Józefa Piłsudskiego) ingerowały w życie uniwersytetów. Na tej podstawie posłano na przedwczesną emeryturę mojego Dziadka profesora medycyny, Pawła Gantkowskiego, z Uniwersytetu Poznańskiego za jego publiczne wypowiedzi przestrzegające przed niebezpieczeństwem niemieckim grożącym Polsce. A znał Niemców dobrze, ze studiów medycznych zakończonych doktoratem w roku 1895 w Würzburgu.

Oprócz oficjalnej agencji partyjnej działały w systemie PRL-u jawne, choć mafijne organizacje niby niezależne i apolityczne, jak ZBoWiD, czyli Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. Do mnie jako uczestnika Powstania Warszawskiego zwracano się bym wstąpił do tej organizacji. Oczywiście odmówiłem pani kadrowej, bo ona była tajnym agentem znanym w Instytucie jako taka. Nie przeszkadzało to im w nazywaniu mnie członkiem ZBoWiD, w co uwierzyła sympatyczna redaktorka, dr Kohmanowa, tak mnie przedstawiając w cyklu artykułów o profesorach Instytutu Badań Jądrowych, w piśmie „Rezonans”. Oczywiście żadnych sprostowań nie pozwolono drukować.

A propos ogólnie znanych w instytucjach agentów, na których trzeba było zwracać uwagę. We wszystkich KDL było to samo; np. w zaprzyjaźnionym instytucie w Lipsku był nim dr Bös, który dla ułatwienia w rozpoznaniu chodził w skórzanym płaszczu jak Dzierżyński. Dziś już nie robi w nauce, a jest skromnym celnikiem na lotnisku w Berlinie.

Jeszcze co do jawno-tajnych etatowych agentów: wszystkie konferencje międzynarodowe w Polsce były obsadzone przez odpowiednich panów. Przez parę dziesięcioleci byłem organizatorem Polsko-Duńskich seminariów chemii radiacyjnej. Na jednym z nich, w wypoczynkowym ośrodku IBJ na Mazurach, dyżurował agent, już nie do ukrycia z powodu małego grona, zresztą na etacie naszego Instytutu. W jednym tradycyjnie wolnym popołudniu zniknąłem z ręcznikiem z pola widzenia, kajakiem, z niezwykle atrakcyjną obywatelką duńską. Następnego dnia agent chodził wściekły. Ciekawe, trzeba by zapytać dzielnego tropiciela (w stylu Ziobry) Wildsteina czy pozostał po tym epizodzie, i w jakiej formie, ślad w jakiejś teczce. Bo ja nie mam czasu, będąc ciągle czynny naukowo – muszę przede wszystkim w tej chwili przesłać dwa artykuły do specjalistycznych czasopism.

Było oczywiste, że stan bezpartyjnej Dyrekcji nie może trwać wiecznie. Partia przyspieszała awanse naukowe swoich wybranych członków, w jednym przypadku nawet kwestionując wynik tajnego głosowania Rady Naukowej, która nie uznała osiągnięć naukowych partyjnego kandydata i odmówiła nadania tytułu profesora. Rada Naukowa została wówczas rozwiązana przez organ założycielski, czyli Pełnomocnika Rządu do spraw wykorzystania Energii Jądrowej, który uległ metamorfozie w Urząd Energii Atomowej (elektronik, niejaki doc. Felicki, kto go jeszcze pamięta?). Przypadek ten każe przypomnieć, jaką pożyteczną rolę w opieraniu się partii miały Rady Naukowe z ich tajnymi głosowaniami. Wspomniany prezes atomistyki, zdenerwowany klęską partyjnego przyjaciela, rozpedził Radę: „Coś ty zrobił idioto”, krzyczał inny jego przyjaciel partyjny, doc. Rzymkowski, dyrektor Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej, wpadając do gabinetu, jeszcze w otwartych drzwiach, jak opowiadały niezawodne sekretarki. Po rozwiązaniu Rady, Felicki przeprowadzał

osobiste śledztwo kto jak głosował na podstawie śladów długopisowych na kartach głosowania. Buntownicy nie zostali powołani do nowej Rady (ja też oczywiście). Pełnomocnik Felicki oprócz kwalifikacji partyjnych nie miał nic wspólnego z nukleoniką, podobnie jak historycznie pierwszy, wspomniany Wilhelm Billig).

Na moje stanowisko dyrektora chemii jądrowej po mnie szykowano doktora legitymującego się tajnym doktoratem, Jerzego Michalika (nie mylić z prof. Jackiem Michalikiem, *no kin*) z tajnego instytutu w Leningradzie, oprócz tego prezesa wpływowego, żeby nie powiedzieć mafijnego stowarzyszenia aktualnych i byłych studentów i doktorantów polskich w ZSRR. Mało kto wie, oprócz członków, że coś takiego było, popierając gdzie się da, swoich.

Atak na bezpartyjnych kierowany był z wielu stron, jednym z elementów były prowokacje służb. Prof. Minczewski pokazał mi pismo z MO, zawiadaniające, że u jednego z pracowników mojego pionu, chemii jądrowej (który jeździł do Radomia na procesy robotników) Mirosława Chojeckiego, znaleziono w jego mieszkaniu izotopy promieniotwórcze, którymi miał wytruć mieszkańców Warszawy. To był rok 1976, prof. Minczewskiemu nie udało się dłużej utrzymać mnie na stanowisku dyrektorskim i poprosił mnie o złożenie prośby o dobrowolne zwolnienie z funkcji.

Historia przyspieszała, szybko zmierzając do kolejnego wstrząsu w znanym cyklu. Pojawiły się znów i zaktywizowały kreatury partyjne, np. wspomniany już prof. Roman Broszkiewicz ze swym adiutantem, inż. (bez mgr.) Stanisławem Kołygą, rzadko trzeźwym i fundamentalistka komunistyczna dr Zofia Stuglik. Ku uciesze reszty Instytutu nie stanowili monolitu ideowego, nawet publicznie przezywali jedni drugich na przykład trockistami, a ci drudzy w odwecie – rewizjonistami. Jednoczyła ich niechęć do mnie. Broszkiewicz kilkakrotnie usiłował wyrzucić mnie z Instytutu, na początku jeszcze, przed ukończeniem mojego dzieła akceleratorowego. Stosował metodę przekonywania mnie, że dzięki swoim wpływom załatwi mi np. katedrę po profesorze Tomassim na Politechnice Warszawskiej, albo kierownictwo Zakładu w PAN-owskim Instytucie Chemii Fizycznej na Kasprzaka, po profesorze Kemuli! Poruszony tą sprawą doc. Sabliński, jeden z nielicznych „sprawiedliwych” (w znaczeniu biblijnym) członków partii, ujmował się za mną. Z szacunkiem i wdzięcznością takich jak on wspominam. Mogłem dzięki nim kończyć, to co uważałem za moja misję, w instytucie pozauczelnianym, czyli wprowadzenie dużych źródeł promieniowania jonizującego do pierwszego z krajów tzw. demoludów, co mi się udało.

Pani (dziś) Stuglik (dziś w Instytucie pisze się z panięńskim nazwiskiem Peimel-Stuglik, co w erze komputerowej trochę zaciera ślady) stosowała zwyczajne dokuczanie, zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego gdy została komisarycznym sekretarzem POP na Żeraniu. Do jej kompetencji, jak zawsze, do komitetu zakładowego należało podpisywanie wniosków wyjazdowych za

granicę, czym zaczęła torpedować skutecznie mój kontrakt z National Bureau of Standards, na Funduszu Marii Curie (dawna umowa zbożowa). Musiałem dla ratowania umowy, za specjalną przepustką z mojego Instytutu, odwiedzać Ambasadę USA; po wyjściu z niej zostawałem chwilę przed wejściem, poprawiając krawat i uśmiechałem się jak głupi do sera by wyjść dobrze na zdjęciu SB.

Moje relacje z *attache* naukowym ambasady USA, Zerolisem stały się tak przyjazne, że któregoś wieczoru zostałem z żoną zaproszony na *dinner* do świeżo wyremontowanej willi na Mokotowie, którą zajmowali. Było jeszcze dwóch profesorów z żonami, fizyk i chemik. Obsługę *dinneru* stanowiło czterech panów (dziś nawet po polsku nazywa się to *kateringiem*) o łatwo domyślnej afiliacji. Rzucaliśmy na ile się dało idiomy amerykańskie, potrzeba czy nie potrzeba, i nie wiem czy panowie nie znali dość angielskiego, czy ich magnetofony pochodziły z podejrzanych firm a nie jak zwykle z solidnej firmy dobrze znanej w Danii, stałego dostawcy urządzeń podsłuchowych (swego czasu Duńczycy informowali mnie, że tę bankrutującą firmę uratowało PRL zamawiając tysiące pluskiew), w każdym razie partia ze swoimi służbami uznała, że tego już za wiele i dwa dni po naszym *dinnerze* Zerolis uznany został *persona non grata* i musiał szybko wyjeżdżać jako wydalony dyplomata. Szczerze nam było z żoną żal pani Zerolisowej, która z dumą oprowadzała nas po willi. No, ale to były koszty pracy w niebezpiecznych kontaktach z komunizmem. W odwecie Amerykanie zerwali kontrakty, moim zdaniem niesłusznie i na własną szkodę, bo więcej zyskiwali niż my i to za śmiesznie małe pieniądze. Zwłaszcza z innych instytutów niż nasz uzyskiwali informacje, według mojego rozeznania o znaczeniu wojskowym i gospodarczo strategicznym. Ciekawe, zeznaję wszystko skrupulatnie, że ku mojemu zdziwieniu nikt z SB mnie nie przesłuchiwał o czym rozmawiałem na przyjęciu i przedtem z Amerykanami. Nie wypadało mi pytać kolegów profesorów, czy ich też nie, zresztą musiałbym korzystać z telefonu, który miał w tle akustycznym „rozmowa kontrolowana”.

Tymczasem miałem już wszystkiego dość i tego, że moi wychowankowie, których wysyłałem do USA, zażywali spokojnej pracy naukowej w normalnym państwie. Zaproszenie na *visiting professor* w renomowanym Radiation Laboratory University of Notre Dame, błyszczącym jeszcze w chwale wspomnień o wspinałym okiełzaniu energii atomowej i kładzeniu podwalin pod bombę atomową, nadeszło szybko. Stosunkowo łatwo uzyskałem zezwolenie na wyjazd; zorientowałem się, że perspektywa pozbycia się Zagórskiego wprowadziła partię w IBJ i zapewne służby w stan euforii. Nikt nie usiłował mnie przesłuchiwać, bym przypadkiem się nie rozmyślił. Radość IBJ potwierdziła się po pierwszym roku pobytu gdy trzeba było przedłużyć paszport w Konsulacie PRL w Chicago, na podstawie wniosku z Warszawy. Któregoś dnia dzwoni do mnie zdenerwowana urzędniczka konsulatu „czy u Was teleksy wysyłają sprzątaczkę?” Okazało się, że prof. Janusz Leciejewicz, mocno partyjny dyrektor Instytutu ze świtą, tak się

ucieszył moim wnioskiem o przedłużenie, że zapomniał podpisać tekst teleksu! A urzędniczka konsulatu miała prawo być zdenerwowana, bo budynek w Chicago był obleżony przez pikietujących z Polonii chicagowskiej, którzy każdego wchodzącego i wychodzącego fotografowali, a zdjęcia były wystawiane w polskich sklepach rzeźniczych (aluzja?) na tzw. Miłłokach (Milwaukee Avenue).

W uzupełnianiu mojej historii muszę wyznać, że nieinwigilowany, tylko zwyczajnie trochę śledzony, postanowiłem sam uzupełnić moją teczkę, lokując donos o treści akurat korzystnej. W tym czasie korzystając z obecności w USA pewnego naukowca, bąknąłem niechcący przy piwie, że mam zamiar po powrocie przejść na emeryturę (to było 25 lat temu). Zgodnie z przewidywaniem, posłaniec zrobił to, co zamierzałem, donosząc „w zaufaniu” i poprawiając humor prof. Leciejewicza *et al.* na całe miesiące. Oczywiście miało to i złe strony, bo po powrocie za karę, że oszukałem partię, nie oddano mi kierownictwa pracowni.

Nawiasem mówiąc, ile takich mniej ale i więcej groźnych, nadawanych celowo fałszywych informacji znajduje się w teczkach IPN? Czy ktoś z nowej lewicy dokonał wartości działań tajnych w czasach PRL? Masowość akcji i jej tandeta chyba uśredniły zyski i straty i *per saldo* wyniki były żadne, podobnie jak pomysły gospodarze komunistów. Nie ulega kwestii, że na pewno celne dla partii były tylko przypadki klasycznego zaflancowania agenta w organizacji sprzeciwiającej się dyktaturze. W przypadku Instytutu Badań Jądrowych żadnej tajnej organizacji, o ile wiem, nie było.

W zalewie masowych enuncjacji medialnych w roku 2007 dostrzega się praktycznie tylko te czki z agentami, natomiast nie zauważyłem informacji o roli anonimów, dla czytania których było przecież ogromne biuro w KC PZPR. W przeciwieństwie do sytuacji w czasie wojny, gdy polscy urzędnicy pocztowi wyłapywali i niszczyli listy anonimowe do władz niemieckich, w czasach peerelu anonimy prawdopodobnie wszystkie dochodziły. Zauważalne efekty sprawiały satysfakcję kowbojom prywatnych jednoosobowych wojen z komunizmem, który anonimy pilnie studiował. Dowodem na skuteczność metody anonimowej skierowanej przeciw podejrzliwym z natury rządowi absolutnym jest udokumentowana historycznie wieloletnia sprawa na dworze pruskim, gdy jedna osoba wywoływała przez dłuższy czas niesłychane zamieszanie. Mimo że była to epoka gęsiego pióra, a środowisko było niewielkie, nie udało się nigdy sprawnej przecież, prawie jak francuska policja pruskiej, wykryć sprawcy, który (która?) doprowadzał(a) niektóre ofiary do samobójstwa. Przypuszczać należy, że wiele z tajnych podchodów peerelowskich służb polegało na sprawdzaniu u konkretnych ludzi prawdziwości informacji anonimowych.

Ileż może być w teczkach SB śladów odgryzania się bezpartyjnych na prześladowanych ich partyjnych? Ileż sprytnie konstruowanych intryg przeciw partii? Ile prywatnych kampanii prowadzonych po cichu z wrogiem? Tzw. czwarta RP i jej dyspozycyjni dziennikarze widzą tylko jakichś złośliwych komediantów donoszących plotki na innych komediantów. Może i to było w strefie zainteresowań

służb, na przykład na wszelki wypadek, by mieć coś na kogoś, ale zapewne były i szersze plany SB większych akcji organizowanych wspólnie z partią albo jej frakcjami. Inaczej nie dałoby się zrozumieć propozycji złożonych przez agentów mojej córce, pracującej w medycznym Instytucie Matki i Dziecka. Jest to Instytut, który trudno byłoby posadzać o jakąś rolę w intrydze międzynarodowej, znaczeniu dla obronności państwa czy w polityce wewnętrznej. Panowie byli świetnie zorientowani i chwalili sukcesy naukowe córki na stypendium Fullbrighta w prestiżowym waszyngtońskim uniwersytecie Georgetown. Oferowali pomoc finansową w przeniesieniu się na dłuższy czas z rodziną do stolicy USA. Córka spytała co z jej szefową, mocno partyjną panią profesor. Panowie tylko się uśmiechnęli, zapewniając że wszystko jest załatwione. Jest to najlepszym przykładem działania służb tajnych wraz i pod kierunkiem, z pozornie jawną „pocziwą” partią, która jednak jak zwykle coś knuła, zapewne bez związku z medycyną. Córka wywiedziawszy się co się dało wywiedzieć – o istocie całej akcji i tak by się w tym stadium nie dowiedziała – oświadczyła ku osłupieniu agentów, że jest w ciąży i propozycji nie może przyjąć. Nie potrzeba dodawać, że jej szefowa o tym wtedy też nie wiedziała.

Jeszcze co do prywatnych wojen: zwalczanie wyższych działaczy i funkcjonariuszy partyjnych nie było trudne. Fachowość większości z nich była żadna i nie zdołały jej zastąpić szkolenia przez NKWD w przypadku tych, którzy wojnę spędzili w Rosji. Przygotowanie ekonomiczne ich pochodziło najczęściej ze sklepików cynamonowych, no może z wyjątkiem ministra Szyra, który w Hiszpanii lat wojny domowej szykował się na zorganizowanie tego kraju jako demokracji ludowej zwasalizowanej z ZSRR. Głupota niższych ministrów PRL była nieopisywalna. Gdy min. Lesz zgłosił się do naszego Instytutu z pewnym pomysłem, ktoś przypomniał krótki dowcip-wizytówkę „minister Lesz, bohater wojenny, pseudonim magister inżynier”. Tacy osobnicy klonowali następnych – ciekawe, że nikt do tej pory nie opisał masowego mianowania w przemyśle tzw. dyrektorów z awansu społecznego, w najlepszym przypadku zasłużonych ślusarzy. Sam jakiś czas miałem nad sobą takiego, po wyrzuceniu z Uniwersytetu. Narady operacyjne nazywał stukaniem po główkach, kończyły się dopiero gdy sekretarka zaczynała popłakiwać. Ona zresztą, żona jakiegoś przedwojennego dyrektora kierowała (merytorycznie) zręcznie, a nie partia, całym interesem. Mnie dyrektor nie atakował, bo panicznie bał się chemii, a byłem przecież kierownikiem laboratorium analitycznego.

Tymczasem system zaczął się już na dobre sypać, co można było zauważyć przy okazji współpracy z redakcjami, po tępieniu się ostrza cenzury. Ale w mojej teczce jedno pozostawało niezmiennie: zakaz pracy w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej w Wiedniu nawet jako kilkunniowy ekspert. Gdy życzliwe mi osoby zaproponowały wystąpienie o wyjazd do MAEA, nadeszła twarda odpowiedź: nie. Dopiero po transformacji, gdy upomniał się o mnie znany

specjalista z Agencji dr Markovič, pojechałem na tydzień do jednego z krajów proszących o pomoc techniczną. Jak widać, partia zachowywała się zawsze jak przysłowiowa krowa, która nie zmienia poglądów.

Ku mojemu zdziwieniu, zwłaszcza teraz gdy dowiadujemy się że prof. Mioddek (polonista) pisywał relacje ze swoich wyjazdów zagranicznych dla SB, stwierdzam, że nikt mnie o takie tajne raporty nie prosił. Zgodnie z jawnymi przepisami sprawozdanie z zagranicy zawierało dwa zdania, że zadania zostały wykonane, również sformułowane jako tytuł prezentacji i udział w dyskusjach naukowych. Ja nigdy nie spotykałem się z inwigilowaniem przed i po wyjeździe zagranicznym, ale musiało to być powszechne w przypadku uczelni, skoro Prezydent Czwartej Najjaśniejszej, w kwietniu 2007 r. zapewnił, że takie inwigilowanie wyjazdowe profesorów uniwersytetu nie będzie uważane za współpracę z policją polityczną.

Dziś mam nowy pogląd na przyczynę pomijania inwigilowania mnie przed i po wyjazdach zagranicznych. Zakaz określonych tylko wyjazdów był prawdopodobnie sformułowany tak, że konkretni funkcjonariusze rozumieli to, iż nie wyjeżdżam, więc po co mieliby ze mną rozmawiać. Hipotezie tej przeczy jednak fakt, że jakiś pion SB interesował się moimi wyjazdami, może na prywatny paszport. Któregoś dnia dozorczyńi, która pełniła obowiązki podobne do francuskiej konsjerżki, czyli wiedziała wszystko o wszystkich, krzyknęła do mnie na całą klatkę schodową: „Panie Zagórski, Pan chyba gdzieś będzie wyjeżdżał, bo było tu dwóch takich z teczkami, wie Pan, i dopytywali się kto do Pana przychodzi itd.” A może chodziło o co innego?

Tych dwóch panów z teczkami przypomina mi scenę w holu Radiation Laboratory, University of Notre Dame, gdy mój amerykański szef, prof. Bob Schuler, po odprowadzeniu gości do wejścia natknął się na mnie, uśmiechnął się, „widziałeś tych dwóch facetów z teczkami? Wypytywali się o Ciebie”. Istotnie, dłuższa praca w laboratoriach nuklearnych finansowanych przez Departament of Energy USA, dla fachowca zza kurtyny była niemożliwa w instytutach typu National Laboratory, jak Argonne, gdzie dwukrotnie chciano mnie przyjąć, ale w końcu po ingerencji góry, odmawiano. Radiation Laboratory, było tym wyjątkiem, bo stanowiło formalnie część Uniwersytetu, który filtrował pieniądze i neutralizował ich pochodzenie. Natomiast dwukrotne starania fachowców National Laboratories, jak Argonne National Laboratory o zawarcie ze mną dłuższego kontraktu nie powiodły się. Jednym z wnioskodawców był nawet odkrywca elektronu uwodnionego, Erwin Hart, nominowany do nagrody Nobla. Gdy wnioski dochodziły do Department of Energy, nadchodziła odpowiedź negatywna: W tych laboratoriach nie mogą przebywać czas dłuższy obywatele państw, z którymi USA nie mają umowy atomowej. Ten eufemizm dopuszczał przebywanie naukowców z Jugosławii, stanowiącej wówczas nienajgorszy punkt oparcia USA, przynajmniej dla CIA na Bałkanach. Dziś brzmi to ironicznie w świetle wymienianej z niesmakiem Serbii. Swoją drogą ciekawe co jest w mojej teczce w CIA?

Jeżeli ktoś przeczytał moje wspomnienia na zadany temat, musi być rozczarowany. Nie podstawiłem w PRL nogi nikomu, ani wielkiemu, ani maluczkemu, nie pokręciłem kołem historii (*what a shame*, mówią wtedy Amerykanie), doznałem tylko relatywnie miernych krzywd, moi polscy wrogowie (któż ich nie ma) sami się pokarali, zresztą zupełnie słabiutko, albo w ogóle. W każdym razie słabiej niż Niemcy w akcjach denazyfikacyjnych, nie mówiąc o Rosjanach, bo ci w głębi serca są nadal tacy jak zawsze i nikt nie ma o to do nich (w Rosji) pretensji.

Ale, ale, muszę Czytelnika czymś jednak usatysfakcjonować. Otóż byłem tajnym współpracownikiem, osobowym źródłem informacji (po angielsku *humint – human intelligence*), chociaż daleko mi było do kilkudziesięciu pozycji wymienianych w najślawniejszej ustawie IV RP, jak dumnego „rezydenta”, „kontaktu operacyjnego”, „dysponenta zakrytego punktu obserwacyjnego” itd. Tyle że to były normalne dla większości wykształciuchów działania wspierające ośrodki przeciwstawiające się peerelowi. O pierwszym, wspomnianym w powyższym tekście, czyli agendom Rządu Emigracyjnego w Londynie nie będę więcej mówił, bo dostęp z racji powiązań rodzinnych nie był najwygodniejszy. Drugi, czyli Radio Wolna Europa, był zasilany przezemnie, jednak nie odpowiadał mi z racji zbyt nasilonego charakteru populistycznego. Starąłem się przedstawiać punkt widzenia ścisłego naukowca, co nie zawsze się udawało. W pamięci pozostało mi miłe spotkanie w roku 1978 z jednym z najważniejszych redaktorów RWE, w najbardziej polskim z zamków nad Loarą, czyli Montrésor. Obok siebie stały na parkingu – mój 125P obok wyższej klasy samochód z tablicą monachijską.

Dopiero trzeci kontakt z „wrogami PRL”, czyli paryska „Kultura”, to było to. Co prawda w okresie konspiracyjnym red. Giedroyc wydrukował mi z nadesyłanych materiałów tylko jeden artykuł, ale czytał i komentował wszystkie, spoczywające dziś w archiwum jego imienia. W okresie jawnym wydrukował dalsze, specjalnie napisane. Moją tezą było nawiązanie bliższych kontaktów między politykami a naukowcami ścisłymi. Dłuższa wizyta w Maisons-Laffitte w roku 1992, wypełniona dyskusją z tym wspaniałym człowiekiem, pozwoliła trochę popchnąć sprawy naprzód, jednak nie stopiła lodów pewnej rezerwy, jaką humaniści mają w stosunku do nas. Dziś jest jeszcze gorzej, jak widać z rozwoju stosunków do nas władz Czwartej RP, które już zupełnie nie rozumieją o co chodzi w nowoczesnym świecie nauk ścisłych i techniki.

Jakkolwiek daleko do końca dyskusji wykształciuchów, jak zostaliśmy tak nazwani z pogardą w Czwartej RP, warto już teraz, jako ludzie od nauk ścisłych zanalizować przyczyny osobliwości z niedonoszoną, a szczęśliwie obaloną trochę przez Trybunał Konstytucyjny ustawą lustracyjną. Nie byłem w stanie z braku czasu (który poświęcam na oryginalną twórczość w dziedzinie chemii) przeczytać wszystkiego co w poważnych pismach napisano na ten temat, ale twórcy pomysłu opóźnionego o 15 lat nie zdają sobie sprawy jak załatwiano

sprawy denazyfikacji w latach czterdziestych, po II Wojnie. Może nawet nie wiedzą, co oznacza ten termin. Został zastosowany do ludzi systemu, który przegrał na polu totalnej wojny. Komunizm przegrał inaczej (w sporcie nazywa się to przegraną przy zielonym stoliku), ale też przegrał, a relacje jego partii ze służbami w stosunku do społeczeństwa ilościowo były bardzo podobne. Główna różnica polega na nieuwzględnianiu odstępu czasowego pomiędzy zabraniem się do ścigania a okresem działania. Denazyfikacja dotyczyła tylko pięciolecia wstecz, a lustracja zarządzona w RP działań od 22 lipca 1944 r. do 31 lipca 1990 r., plus okres prawie 17 lat lustracji selektywnej. Autorom ustawy wydawało się chyba, że czas nie biegnie. Ograniczenie lustracji do ludzi pracujących wycina praktycznie wszystkich tych, którzy broili od roku 1944. Najważniejsze jest jednak dyskryminowanie bezpartyjnych, z pozostawieniem partyjnych w spokoju, dostatecznie chyba udowodnione w moich wspomnieniach.

Jest rzeczą zadziwiającą, że adoratorzy zawartości teczek uważają, że to owoce jakiejś niezależnej politycznej siły, niezależnej od partii. Widocznie nie znają historii partii komunistycznych, które miały wręcz obsesję, że tajne służby mogły być gniazdem spisków frakcyjnych. Tępieno takie zamierzenia, prawdziwe lub urojone, w zarodku. Nie znaczy to, że takich ambicji wśród tajnych służb nie było. Przykładem podchody Moczara, który usiłował stworzyć nawet grupę inteligencką, wpływającą na swoje środowiska. Pewien bezpartyjny profesor fizyki, głęboko w tym tkwiący, namawiał mojego przyjaciela, profesora Przemysława Hoffmanna i mnie na udział w „obiadach czwartkowych” (!) organizowanych przez Moczara, na co oczywiście nie zgodziliśmy się (nie z nami takie numery Brunner, możnaby powiedzieć językiem kultowego serialu). Jak wiadomo Moczar przegrał do Gierka, jawnie i konkretnie stawiającego na służenie Moskwie. Ciekawe i mało zbadane są przez historyków podchody frakcji prochińskiej, też wywodzące się ze służb specjalnych. Partia zdusiła to bezwzględnie z kulminacją polegającą na konfiskacie miesięcznika „Chiny”, który ukazywał się z błogosławieństwem cenzury i już nie został wznowiony, a niedoszli puczyści schronili się w Tiranie. Przynajmniej jednego prawdopodobnie z ręcznie zamordowano. Chyba jedynym sukcesem i realizacją konspiracyjnych marzeń następców Dzierżyńskiego było, że niektórzy czekaści dochodzili do władzy, czego imponującym szczytowaniem jest niewątpliwie osoba Putina i wspólników.

Wracając do naszych badaczy teczek, z *dzikim kamieniem* na czele, pomijam już obrzydliwe czepianie się zmarłych, wynikające z nieuwzględniającego biologii przedziału czasowego. Jedynym „usprawiedliwieniem” jest pasowanie tego rodzaju posunięć do uprawianego przez aparatczyków braci Kaczyńskich działań pozaprawnych, jak publiczne oskarżanie lekarza o zabójstwo przed rozprawą sądową.

Co w stworzonym przez obecny i poprzednie rządy systemem zaniedbań można jeszcze zrobić? Wydaje się, że jedynym możliwym, lepszym niż obecnie proponowanym rozwiązaniem jest przywrócenie poprzedniej ustawy lustracyjnej, z osobami pokrzywdzonymi, kłamcami lustracyjnymi itd. Przynajmniej w kilku przypadkach praktyka została nienajgorzej sprawdzona.

Wzorem polityki aktualnego rządu RP, zwracałem w moim artykule główną uwagę na działania PRL-owskich służb specjalnych jako siłowego ramienia partii. Nie można zapominać, że terenem łowów w Polsce były też oczywiście służby innych krajów. Wspomniana już moja Siostra przez lata 1963–1964 miała odmowę otrzymania wizy USA. Była wielokrotnie przesłuchiwana przez konsula amerykańskiego mówiącego przedziwną polszczyzną, jakiej uczą na kursach dyplomatycznych (amerykański etnik, np. polskiego pochodzenia nie może służyć w dyplomacji, musi to być rdzenny Amerykanin). Siostrze udało się w końcu znaleźć dziurę w przepisach pozwalających na dodatkowe studia artystyczne w USA, wykorzystując wizę studencką.

Mimo dużych przykrości, kontakty z ambasadą USA były raczej humorystyczne, natomiast niewesołe i groźne w skutkach były poczynania służb rosyjskich. Okazją do penetrowania środowisk polskich przez Rosjan były przesłuchania warunkujące przyznanie wizy dla odwiedzenia rodziny, np. w Wilnie. Mało kto już chce dziś wracać do tych przykrych wspomnień – ja ich nie mam, bo nie doświadczyłem tego, niemając krewnych na byłych kresach RP. To inna dziedzina i ktoś inny powinien ją zbadać. By zakończyć to optymistycznym akcentem, przytoczę to, co jeden z moich znajomych mi opowiadał w związku z przesłuchiwaniami w ambasadzie ZSRR, warunkującym otrzymanie wizy do Wilna. Gdy był nagabywany później przez perelowskie SB, to pogroził im palcem, że poskarży się swojemu opiekunowi rosyjskiemu, co poskutkowało i prawdopodobnie zostało odnotowane w jego teczce, że figurant jest już nad-tajnym agentem i „nam” wara od niego.

Celowo ograniczyłem liczbę pozycji literaturowych. Rok 2007 był bogaty w wspomnienia, komentarze i analizy. Przykładem jest ostatnia pozycja [7], bardzo celna. Ale mój artykuł jest i tak zbyt długi.

Pisane w przeddzień tzw. lustracji w roku 2007, nieco uzupełnione w sierpniu 2007.

Przypisy

1. Z.P. Z a g ó r s k i : *Jeden z tajnych kompletów*, [W:] *Szkoła Im. Stanisława Staszica w Warszawie 1906–1950*. Warszawa 1988 Państwowy Instytut Wydawniczy, s. 379–387.

2. Z.P. Z a g ó r s k i : Chemik stulecia totalizmów, [W:] *Z dziejów polskich badań nad oddziaływaniem promieniowania z materią*. Red. J. Kroh. Łódź 2003, s. 265–300.

3. Z.R. G r a b o w s k i : *W skorodowanym zwierciadle pamięci. Szkic autobiograficzny*. „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 50, 7–202, (2005)

4. Z.P. Z a g ó r s k i : *Profesor W. Kemula – niezwykle profesor trudnych czasów*. „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 47, (1), 79–82 (2002).

5. Z.P. Z a g ó r s k i : *Początki chemii w Instytucie Badań Jądrowych*. „Postępy Techniki Jądrowej” 48, (3), 25–30, 2005.

6. Z.P. Z a g ó r s k i : *Niemiecka bomba atomowa jeszcze raz*. „Postępy Techniki Jądrowej” 50, (1), 29–42, 2007.

7. P. M a c h c e w i c z : *Ryzykowny romans historyków z władzą. Wywiad przeprowadzony przez red. Cezarego Michalskiego*. „Dziennik”, dział „Europa, Tygodnik Idei” nr. 27 (170), 7 lipca 2007 r.

Prof. dr hab. Zbigniew Paweł Zagórski, Instytut Chemii i Techniki Jądrowej w Warszawie

P.S. Piszę się z uporem od lat pięćdziesiątych w wszystkich publikacjach i dokumentach dwojgiem imion od czasu, gdy inny Zbigniew Zagórski odebrał mi na poczcie honorarium za jakiś artykuł naukowy! No i dobrze, bo żurnalista, detektywopodobny Wildstein odkrył aż dwóch Zbigniewów Zagórskich, z którymi nie mam nic wspólnego.